
PROFESOR ARTUR HUTNIKIEWICZ

WSPOMNIENIE

Nie mam podstaw, aby Profesora Artura Hutnikiewicza nazywać swoim mistrzem ani uważać się za jego uczennicę. Nie ośmieliłabym się także oceniać naukowej spuścizny Profesora i wskazywać, gdzie jest jego miejsce wśród innych znawców polskiej literatury.

Piszę to wspomnienie powodowana uczuciem wdzięczności za przyjaźń, której doznawałam ze strony Profesora przez wiele lat. Przyjaźń nie jest związkiem, który rodzi się między ludźmi nagle, pod wpływem niezwykłego impulsu i porywu. Trzeba czasu, by to – co stanowi istotę przyjaźni – rozwinęło się, dojrzało, zostało dostrzeżone i docenione. Nie sposób zdecydować, że oto w danej chwili stajemy się przyjaciółmi i odtąd już nimi jesteśmy. Nie inaczej, bo właśnie z wolna, rodziła się przyjaźń Profesora ze mną. Niejednokrotnie, zwłaszcza po śmierci Profesora, wracam myślą do jej początków, które tak trudno wyznaczyć, do jej ważnych i mniej ważnych aspektów.

Z Profesorem, a wówczas doktorem Arturem Hutnikiewiczem, zetknęłam się u progu moich studiów. Była jesień 1951 roku. W tym nieprzyjaznym dla uniwersytetów czasie bezwzględnie usuwano z uczelni niepożądaną ideologicznie kadrę naukową. Z tzw. wrogiego elementu zachowały się nieliczne osoby, a pobyt ich na uniwersytecie miał być krótkotrwały, tolerowany tylko dopóty, dopóki będą niezbędne dydaktycznie. Do tego właśnie grona należał Artur Hutnikiewicz, młody doktor, który nie miał jeszcze ugruntowanej pozycji naukowej, którego nie chronił żaden ważny wówczas autorytet. Jego karierze uniwersyteckiej łatwo więc było w każdej chwili położyć kres.

Początkowo tego wysokiego, szczupłego pana spotykaliśmy tylko w czytelni literackiej (dawny pokój 21, obecnie 203 w Collegium Maius), gdzie pełnił dyżury podobnie jak inni pomocniczy pracownicy naukowci. Wydobywał dla nas książki ze skrzypiących szaf, przyjmował i sprawdzał rewery. Był oczywiście uprzejmy, ale daleki od wszelkiej fraternizacji.

Wkrótce poprowadził dla naszego roku ćwiczenia z poetyki i wersyfikacji, następnie powierzono mu całoroczny wykład z literatury powszechnej okresu oświecenia i romantyzmu, a także ledwie jeden semestr trwający wykład poświęcony literaturze Młodej Polski. Były to w ciągu czterech lat naszych studiów jedyne zajęcia „literackie” na prawdziwie uniwersyteckim poziomie.

Pewna część studentów uczestniczyła w nich z podziwem i ze szczerą wdzięcznością. Rangę owych zajęć dostrzegała bez wątpienia i ta – wcale niemała – część naszego roku,

która bezustannie wystawiała wykładowcy ideologiczne cenzurki, zarzucając mu burżuazyjny formalizm i niemarksistowskie interpretacje. W tym nastawieniu tkwiły też ziarna zawiści, bo z ćwiczeniami i wykładami doktora Hutnikiewicza nie wytrzymywały porównania zajęcia innych pracowników literackich katedr – często niedbale opracowane, nijakie merytorycznie i mało odpowiedzialne, to znów upozowane na zmaganie się z rzekomymi zawiłościami „jedynie słusznej” problematyki i metodologii.

Tymczasem ostro krytykowany wykładowca tydzień po tygodniu przeprowadzał zajęcia doskonale przygotowane, językowo staranne i nawet piękne, mieszczące się dokładnie w przewidzianym czasie, od kwadransa akademickiego poczynając, na obwieszczanej donośnym dzwonkiem pełnej godzinie kończąc.

Raz jeden czas ten został przekroczony – w pewien zimowy poniedziałek w 1954 r., po ukazaniu się w niedzielnym dodatku do miejscowej gazety wymierzonego w doktora Hutnikiewicza paszkwilanckiego artykułu. Jego autor nie był studentem i nie był na wykładach, ale materiałów dostarczyli mu gorliwi ideologicznie koledzy z naszego roku. Profesor w krótkich, ale zdecydowanych słowach wyraził swój pogląd na donosielskie zachowania, na – jak powiedział – napaść z za węgla, tym ohydniejszą, że dokonaną przez młodzież.

Dramatyczne i odważne wystąpienie poruszyło nawet zetempowców, ale nie zakończyło intryg i jawnych szykan skierowanych przeciw doktorowi Hutnikiewiczowi. Trzeba było głębokiego przekonania o słuszności własnych poglądów, poczucia niezależności i wewnętrznej wolności, by niemal każdego dnia stawiać czoło ponurej rzeczywistości tamtych lat. Ale też w tym czasie odezwały się u młodego przecież Wykładowcy pierwsze fizyczne niedomagania. W przyszłości musiano zapobiegać im przez wprowadzenie stymulatora serca, a potem dwukrotną wymianę owego – według słów Profesora – „sztucznego serduszka”.

Mój kontakt z późniejszym Profesorem w latach, które wspominam, był standardowo studencki: oceny za prace zaliczeniowe, krótkie konsultacje, kolokwium, egzaminy. Profesor traktował mnie zawsze życzliwie, początkowo widząc we mnie „młodszą siostrzyczkę” niedawnej absolwentki polonistyki. Gdy wyznaczał mi termin pierwszej konsultacji, zapisał mnie nawet w notesie jako „Friedelównę Jadwigę”. Po ostatnim natomiast egzaminie padło ze strony Egzaminatora ważne pytanie o mój wybór seminarium. Usłyszawszy, że będzie „językowe”, Pan Doktor nieco się skrzywił. Sprawa tego wyboru po latach i przez lata powracała w naszych rozmowach i korespondencji, bo oczywiście Profesor oceniał moją decyzję krytycznie. Nie lubił bowiem językoznawstwa, lubił jednak – jak kiedyś żartobliwie zauważył prof. Franciszek Peplowski – niektórych językoznawców.

Po ukończeniu studiów nakazem pracy skierowana zostałam do toruńskiej Książnicy Miejskiej im. Mikołaja Kopernika (obecnie: Książnica Kopernikańska). Otoczyła mnie tam serdeczną opieką p. Zofia Hutnikiewiczowa. Pracowałam z nią – śliczną, dobrą i miłą – przez pewien czas w jednym pokoju i ta okoliczność w naturalny sposób sprzyjała poznawaniu atmosfery domu państwa Hutnikiewiczów.

Był to dom, w którym ceniono schludność i porządek, pracowitość i oszczędność, skromność wymagań, dyktowaną przez właściwą hierarchię wartości i potrzeb. Dom, któremu jakakolwiek pretensjonalność i snobizm nie były znane. To rodzinne środowisko pozbawione było dzieci, a z czasem nawet nadziei na ich pojawienie się. Trzeba było



fot. z archiwum domowego
prof. Hutnikiewicza

229

LITTERARIA COPERNICANA 1/2008



w nim natomiast otaczać stałą opieką starych rodziców – matkę Profesora i ojca jego Małżonki. Pogłębiające się z biegiem lat niedomagania i choroby wymagały coraz większej troski i powodowały niejedno ograniczenie. Jednak oboje Państwo traktowali swoją sytuację jako nie podlegającą dyskusji, jako normalny obowiązek, od którego nie wolno się uchylać. Podobnie jako obowiązek, samotnie już pełniący, przyjmował Profesor opiekę nad długo i ciężko chorą Żoną.

Kiedy z początkiem roku akademickiego 1957/1958 już jako asystentka znalazłam się na uniwersytecie, sytuacja ówczesnego doc. Hutnikiewicza nie przypominała tej, którą zapamiętałam z lat studiów. Pozytywna odmiana dokonała się w znacznej, pewnie największej mierze dzięki postawie samego Profesora, jego determinacji w dążeniu do wytkniętego celu, dzięki jego zdolnościom i wielkiej pracowitości. Ale nie bez wpływu pozostawała trwająca wówczas „odwilż”, która – co prawda złudna i krótkotrwała – jednak wyraźnie ucywilizowała atmosferę uniwersytecką. Porzucono szykany grubymi nićmi szyte, ale z czasem wdrożono niestety inne metody – kto wie, czy nie bardziej nieetyczne.

Jakież mógł być stosunek młodej asystentki, która zaczynała pracę na uczelni, do Kogoś, kto szedł już pewnym krokiem po drodze wiodącej ku statusowi Wielkiego Profesora? Oczywiście był to stosunek nacechowany podziwem, szacunkiem i respektem. Dziś brzmi to staroświecko, ale ówczesny klimat uniwersytecki był jeszcze bardzo feudalny, a asystenci dobrze wiedzieli, że nie są żadnymi wielkimi uczonymi i znali swoje miejsce w istniejącej hierarchii.

Dostrzegłam więc rosnący prestiż Profesora, jego popularność wśród studentów, coraz wyższy autorytet na wydziale, na uczelni i poza nią. Obserwowałam, jak on sam ce-

nił tytuł i stanowisko, które przypadły mu w udziale. Obowiązki uniwersyteckie skupiał w pierwszej połowie tygodnia i w tych dniach gotów był przychodzić na uczelnię przed i po południu; drugą część tygodnia rezerwował na własną pracę; niedziela, rozpoczynana mszą św. o godz. 8.00 (później o 7.30) w kościele Najświętszej Maryi Panny, była zawsze dniem wypoczynku. Szanując swój czas, Profesor nie nadużywał czasu studentów: nie spóźniał się na wykłady i ich nie przedłużał, nie mnożył liczby konsultacji, nie przeciągał czasu egzaminów.

Nigdy nie zgodził się na prowadzenie wykładów na studiach zaocznych. Po pierwsze – burzyłoby to ustalony raz na zawsze rytm pracy. Po drugie – Profesor nie widział uzasadnienia dla takiego trybu studiów w wiele lat po wojnie i przy nasyceniu rynku pracy specjalistami (nauczycielami), trybu, który – poza nielicznymi wyjątkami – na ogół prowadzi do obniżenia poziomu kształcenia uniwersyteckiego. Profesor wysoko cenił taką organizację studiów, której sam był znakomitym produktem. Uważał, nie bez racji, że zwłaszcza student humanista winien wiele czasu poświęcać lekturze i że to jest rękomią jego rzetelnego wykształcenia i intelektualnego rozwoju.

Obfitość egzaminów, do których należy przystępować w ustalonych z góry terminach, mnożenie obligatoryjnych zajęć i przetrzymywanie studentów w salach wykładowych – wszystko to żywo przypominało Profesorowi sowiecki system studiów. Czuł do niego odrazę. Wiązał natomiast nadzieję, głównie po 1989 r., z każdą zapowiadaną reformą studiów, ufając, że odżyje dawny porządek studiowania. Rozczarowanie, że się tak nie dzieje, przeżywał bezustannie, nawet – jak najdosłowniej – na łożu śmierci. W tych dramatycznych chwilach nie opuszczała go również troska o losy zakładu (Zakład Literatury Młodej Polski i Dwudziestolecia Międzywojennego), który od podstaw organizował i którym przez wiele lat kierował.

Praca na tym samym polonistycznym kierunku, a od końca lat sześćdziesiątych w tym samym Instytucie Filologii Polskiej, stwarzała liczne okazje do spotkań z Profesorem. Czasem było to minięcie się w drodze do sali wykładowej, czasem kilka zdań pospiesznie wymienionych przy korytarzowym oknie, ale zdarzały się i dłuższe rozmowy. Tematów dostarczała sytuacja w instytucie, ważniejsze i czasem kontrowersyjne sprawy poruszane na posiedzeniach Rady Wydziału, także przemiany, które dokonywały się w kraju.

Pontyfikat Jana Pawła II, pierwsza i kolejne pielgrzymki papieskie do ojczyzny, strajki w 1980 r., powstanie „Solidarności”, nowe polityczne szanse dla Polski z perspektywą złamania dominacji Związku Radzieckiego – wszystko to przejmowało Profesora wręcz młodzieńczym entuzjazmem. Jak większość z nas, angażował się w porywające działania. Nie przyjmował żadnych obowiązków organizacyjnych, ale zawsze gotów był służyć swoim intelektem. Spośród wielu wygłoszonych wówczas przez Profesora wykładów dla środowisk uniwersyteckich i nauczycielskich, także odczytów publicznych, w mojej pamięci szczególnie utrwalił się piękny wprowadzający referat, którym otworzył sesję poświęconą literaturze emigracyjnej jesienią 1981 roku.

Choć ambicją Profesora nigdy nie było piastowanie administracyjnych i organizacyjnych funkcji uniwersyteckich, to jednak w 1981 r. postanowił kandydować na stanowisko dyrektora Instytutu Filologii Polskiej i prowadził toruńską polonistykę aż do 1986/1987 roku akademickiego. Zamierzał wydobyć ją z atmosfery bierności, zmienić narzucone normy programowe, pobudzić pracowników do naukowej aktywności, do szybszego tempa

w zdobywaniu stopni naukowych. Stan wojenny i lata, które po nim nastąpiły, wtrąciły nas na powrót w stare koleiny. Profesor jednak korzystał z każdej okazji umożliwiającej jakikolwiek swobodny manewr. Odpowiedzialnie traktował sprawy naukowe, personalne, dydaktyczne, kwestie administracyjne stawiając na dalszym planie. Nie poddawał się panującym wówczas lękom i marazmowi, uważał bowiem, że nawet najgorsze czasy można wypełnić pozytywnym i rzetelnym działaniem. Toteż po spełnieniu cotygodniowych obowiązków na uczelni spieszył do domu, by tam pisać książkę o Żeromskim.

Patrzałam na te sytuacje i zachowania z bliska, ponieważ Profesor wyznaczył mnie na swojego zastępcę, czyli wicedyrektora instytutu. Pięć lat dyrektorskiego urzędowania wytworzyło między nami powiązania o innym niż dotychczas charakterze. Wzrosła liczba spraw, które trzeba było wspólnie omawiać i rozstrzygać. Wiele się też od Profesora wówczas nauczyłam, choć nie umiałabym sprecyzować, czego owa nauka właściwie dotyczyła. Była to po prostu suma wiadomości i wiedzy, które emanowały z mądrego, doświadczonego i samodzielnie myślącego człowieka, obdarzonego w dodatku niecodzienną osobowością. Ze wzruszeniem wspominam również dobroć Profesora, którą on sam bywał jakby zakłopotany i zażenowany. Miałam okazję jej doświadczyć w trudnych dla mnie chwilach, wtedy i podobnie w latach przyszłych.

Nie tyle do zawiązania, co do umocnienia przyjaźni z Profesorem i dopełnienia jej serdecznością przyczyniła się prof. Bożena Osmólska-Piskorska. Zaczęła mnie bowiem zapraszać do siebie na kameralne spotkania, w których chętnie uczestniczył prof. Hutnikiewicz. Czuł się dobrze w tym miłym domu, jego panią szczerze lubił i szanował. Rozmowy, które stanowiły istotę spotkań, dotyczyły różnych spraw, nierzadko temat ich się powtarzał, nierzadko było to przywoływanie przeszłości albo po prostu zwykła wymiana poglądów w gronie żytych z sobą i darzących się zaufaniem osób.

Kiedy ze względu na pogarszający się stan zdrowia Pani Profesor wizyty w jej domu stawały się coraz rzadsze, zaczęliśmy spotykać się w domu prof. Hutnikiewicza w bardzo już uszczuplonym, bo dwuosobowym składzie. Dniem spotkań był piątek, a ich godziny z góry ustalone – od 16.30 do 18.30. Znając i szanując rygorystycznie przestrzegany przez Profesora porządek dnia, nie śmiałam przed 16.30 dotknąć dzwonka u drzwi wejściowych jego mieszkania. Wiedziałam też, że czas po 18.30 pozwoli mu niespiesznie zakrzętać się wokół kolacji i potem spokojnie obejrzeć telewizyjne wiadomości.

Osobom przyglądającym się z boku program tak regularnych spotkań mógł wydać się monotony i nieciekawym. Był on jednak zawsze po brzegi wypełniony – przez przeglądanie albumów, czytanie fragmentów książek, poezji, wybranych stron dziennika Profesora, przez rozmowy na różne tematy, błahe i ważne, ogólne i osobiste. Pozostawały one często nie do końca wyczerpane i wymagały telefonicznych uzupełnień, a nawet pisanie listów. Profesor chętnie wracał pamięcią do czasów lwowskiego dzieciństwa i młodości, a choć wspomnienia powtarzały się, zawsze przedstawiał je atrakcyjnie. Coraz też wyraźniej brzmiała w nich nuta nostalgii – tęsknota za Lwowem, miastem pięknym, a we wspomnieniach – najpiękniejszym, z którym rywalizować mogła ewentualnie Florencja, za miastem, w którym każda zima olśniewała bielą śniegu, każde lato było upalne i pogodne, każda wiosna pachniała bzami. A słotna i chmurna jesień – jeżeli w ogóle była – to chyba tylko w czasie wojny. Wydaje się, że gdyby Profesorowi dane było spędzić we Lwowie całe życie, to starość i towarzyszące jej poczucie osamotnienia nie byłyby aż tak dojmujące.



**Artur Hutnikiewicz. Odczyt
w Książnicy Miejskiej**

fot. z archiwum domowego
prof. Hutnikiewicza

Po przejściu na emeryturę Profesor był aktywny i pełen energii. Prowadził jeszcze seminarium magisterskie i bardzo długo wykłady monograficzne. Zachowywał niczym nie zmąconą intelektualną świeżość, w późnym przeciwieństwie do wieku napisał dwie wielkie syntezy – wielokrotnie wznawianą *Młodą Polskę* oraz czekającą na wydanie *Literaturę polską lat międzywojennych*. Oprócz nich powstał szereg drobniejszych pism, spośród których wymienię wprowadzenie, które poprzedziło prezentację drugiego wydania *Żeromskiego*. Jeszcze pod koniec stycznia 2005 r. przepisywałam z manuskryptu Profesora wspomnienie o jego nauczycielskiej pracy w gimnazjum w Wałczu.

Kierując się starożytną maksymą *De mortuis nil nisi bene*, można by w tym miejscu wspomnienia zakończyć. Jednak wspomnienia to nie tekst hagiograficzny, a Profesor był człowiekiem z krwi i kości, w dodatku obdarzonym bujnym temperamentem. Choćby ta strona jego psychiki wyzwalała w nim pewne sprzeczności: cenił samotność, która sprzyjała dojrzewaniu myśli i refleksji – ale równocześnie był spragniony towarzystwa; był poważny, w żadnym razie nie był anegdociarzem – ale miał poczucie humoru, nawet skłonność do chłopięcej psotności. Sama natura wyposażyła też Profesora w wyraźnie skontrastowane zdolności: miał talent literacki, doskonały słuch muzyczny i miły głos, uzdolnienia rysunkowe – ale stawał bezradny wobec mało skomplikowanych wyzwań arytmetycznych. Żywo reagujące usposobienie sprawiało, że nieobce Profesorowi były zachowania gwałtowne, nawet napastliwe. Unosił się nie raz jeden całkiem nieoczekiwanie, bo też wielką wagę przywiązywał do własnych racji, bronił ich niekiedy zapalczywie, by nie powiedzieć, że z uporem. Bez wątplenia Profesor w wielu sprawach wykazywał skłonność do konserwatyzmu, co z jednej strony może nawet Jemu samemu utrudniało życie, ale dawało również wprost przeciwne, pozytywne skutki. Oto ze wczesnej młodości wyniesione ideały trwały niewzruszenie w świadomości Profesora do ostatka. Sprawily, że widzieliśmy w nim szlachetnego człowieka i takim go pamiętamy.

Latem 2004 roku Profesor zaczął wyraźnie tracić siły. Pojawiły się dolegliwości, z których właściwego źródła nie zdawał sobie chyba w pełni sprawy. Zresztą ukrywał je do momentu, kiedy wybuchły z mocą, wobec której organizm był już bezbronny. A więc lekarze, szpital jeden, drugi, trzeci. Patrzyliśmy strwożeni i bezradni na cierpienia Profesora, na kolejne, zadawane mu przez chorobę ciosy. I na myśl przychodziły słowa Ewangelii: „Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz” (J 21,18). Skierowane do św. Piotra i zapowiadające jego mękę, ileż słowa te zawierają prawdy o dramacie każdego ludzkiego życia.

Widzieliśmy Profesora martwego, uczestniczyliśmy w Jego pogrzebie. Jednak bezwiednie wciąż szukamy wzrokiem tej charakterystycznej sylwetki w perspektywie korytarzy Collegium Maius. Pojawia się niezwalczona chęć, by wybrać dobrze zapamiętany numer telefonu 62 289 52. Po sygnale bezosobowo brzmiący głos oznajmia obojętnie: „nie ma takiego numeru”. Tak, nie ma takiego numeru.

Teresa Friedelówna, em. profesor slawistyki i historii języka polskiego, autorka prac z zakresu paleoslawistyki i dziejów języka polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem polszczyzny rejonu toruńskiego, rozpatrywanej w szerokim kontekście kulturowym. Od 1957 r. pracownik Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie pełniła funkcje kierownika Zakładu Historii Języka Polskiego, zastępcy dyrektora Instytutu Filologii Polskiej, prodziekana Wydziału Humanistycznego. Autorka m.in. książek *Kategoria plurale tantum w języku polskim* (1968), *Ewangeliarz ławryszewski: monografia zabytku* (1974)